

„Nigdy nie jestem 665 bardzo zpracowana...”

Tej aktorki, mimo młodego wieku i niezbyt długiego, bo zaledwie pięcioletniego stażu, nie trzeba specjalnie przedstawiać. Dziesiątki ról teatralnych, telewizyjnych i filmowych przyniosły Krystynie Jandzie, bo o niej tu mowa, pochwały krytyków, sympatię publiczności i co nie jest bez znaczenia, nagrody, będące uznanem dla jej aktorskiej indywidualności. W przypadku tej aktorki można bowiem mówić nie tylko o poprawnym wykonywaniu zawodu, ale właśnie o indywidualnym sposobie bycia na scenie, co dziś należy raczej do zjawisk rzadko spotykanych.

— Pani kariera układała się dość nietypowo. Oprócz Anieli w „Słubach panięskich” ominęły panią role tzw. pierwszych naiwnych. Od początku grała pani postacie „pełnokrwiste”, dojrzałe.

— I chyba dobrze. Dzięki temu udało mi się przede wszystkim uniknąć klasyfikacji. Grałam bardzo różnorodnie role, szczególnie w filmie. Właściwie co film, to zupełnie inna rola.

— W ciągu niecałych pięciu lat zdobyła pani zdobyć uznanie publiczności i krytyków, czego najlepszym dowodem są nagrody.

— A ile krytycznych uwag przeczytała na swój temat!

— Jak pani ocenia minione lata na scenie?

— Pięć lat na scenie. Nie potrafię chyba tego ocenić. Najbardziej interesujące i absorbujące moją uwagę są przede wszystkim moje poczynania w tym zawodzie. Oddalam im się tak dalece, że nie zauważyłam nawet jak przeszło tych kilka lat. Straciłam chyba strach — taki pierwszy, który każdy ma na początku swej zawodowej drogi. Zyskałam otwartość w uprawianiu tego zawodu. Poza tym na początku mogłam zagrać bardzo źle i bardzo dobrze. Teraz wiem, że poniżej swego poziomu nie zejść, a zdążyć mi się niespodzianki w drugą stronę.

— Należy pani do wąskiej dość grupy aktorów Wajdy...

— Należę i cały czas boję się, że z niej wypadnę. Przy Wajdzie nie można czuć się zbyt pewnie, bo on ciągle oczekuje od aktora czegoś nowego, aktywności intelektualnej i pełnej gotowości zawodowej.

— Czy czuje się pani z tego powodu wyróżniona?

— Tak, na ile może się czuć człowiek wyróżniony przez kogoś, kogo się niezwykle ceni i komu się nieprawdopodobnie ufa.

— Pani role w większości mają w sobie jeden, bardziej lub mniej ujawniający się rys, który, można by określić mianem drapieżności, agresji.

— Może jest tak dlatego, że każda postać staram się wyposażać w godność. Jest to mój sposób na jej obronę. Jeżeli grana przeze mnie osoba robi rzeczy kompletnie dla ludzi niezrozumiałe, dramatyczne, staram się, wyposażając ją w godność, bronić jej i udowodnić, że jej zamiary mają na celu w gruncie rzeczy dobro.

— W teatrze nie miała pani chyba jak dotąd „swoje” role?

— Na pewno jeszcze nigdy nie byłam z siebie zadowolona. Może dlatego, że za każdym razem dążyłam do czegoś skończonego. Kiedyś malowałam obrazy i nauczyłam się kompozycji, wiem więc na czym polega dobrze skomponowany obraz. Jednak zarówno w malarstwie, jak i na scenie osiągnęłam świadomości pełni owej kompozycji.

— Film, TV, teatr, kabaret, estrada — jest pani swoistym Fronczewskim w spódnicy. Czy nie nazbyt wiele ma pani obowiązków?

— Nigdy nie jestem bardzo zapracowana. Moje koleżanki zagrały już po 40 ról w telewizji, ja tylko 10. Robię dwie, trzy rzeczy na raz. Zajmuję się także dzieckiem. Nigdy nie zdarza się, żebym nie miała czasu na odpoczynek.

— Najbliższe plany?

— W TV zaczynam z Jerzym

Sztanowskim przygotowywać „Dancing” Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej. W Bułgarii będę grała w interesującym filmie — otrzymałam rolę kobiety w młodym wieku, która zajmuje stanowisko równie stanowisku dyrektora najszybszej huty „Katowice”. W rodzimym Teatrze Ateneum jestem tuż po premierze „Dziwięcódziesiątego trzeciego” Przybyszewskiej i „Opery za trzy grosze”. Przygotowuję też „Pokojówki”, który to spektakl będzie wystawiony w Starej Prochowni.

A podczas wakacji, pojedę na Węgry, gdzie zagram główną rolę w filmie Syabo „Meństo” Manna.

Rozmawiała: BOŻENA KRUPA

